

326

Handwritten signature in red ink.

TEATR AMATORSKI № 39

ZJAZD KOLEŻEŃSKI

KOMEDYA W 1 AKCIE

przez

Zygmunta Przybylskiego.

WYDANIE

BIBLIOTEKA MIEJSKA
w Radomiu

N 233



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA

Radomiu

K. 921.

P. 24826

6049



884-2

OSOBY:

Pan TOMASZ ROZTOWSKI		p. Wojdałowicz.
JADWIGA	} jego wnuczki	p. Czaki.
TERESA		p. Barszczewska.
ZDZISŁAW MERNICKI, mąż Teresy		p. Wolski.
EDWARD	} koledzy gimnazjalni	p. Prażmowski.
ADAM		p. Roland.
JÓZEF		p. Owerło.
ROBERT		p. Frenkel.
Pani KATARZYNA KORNALSKA		p. Borkowska.
KLIMCIA	} jej córki.	p. Bogusławska.
MELCIA		p. Szymanowska.
MALCIA		p. Szymborska.
KACPER	} służba.	p. Zejdowski.
MAGDA		Szymanowska T.

Rzecz dzieje się na wsi.



Scena przedstawia salonik w wiejskim dworku — główne wejście przez drzwi oszklone, widok na werendę i na ogród; po prawej stronie okno, drzwi kilkoro — kwiaty, obrazy, na stoliku w głębi leżą skrzypce.

SCENA PIERWSZA.

TERESA, JADWIGA, MAGDA, KASPER.

(Za podniesieniem zastawy, na werendzie za drzwiami wbiega Magda, Kasper — po chwili wchodzi Teresa, w końcu głębią Jadwiga, niosąc w fartuchu kwiaty i liście).

MAGDA *(krzycząc na Kasprowie)*.

Kasper, bój się Boga! dziedzic cię wygrzmoci, co kunie jesce nie zaprzężone.

KASPER. *Foria*

Niech grzmoci Antka, mnie nie do kuni, a co wołałem to tyła, on ani się rusy, jeno fajkę kurzy, pogwizduje i godo; będzie coś, będzie coś.

BIBLIOTEKA
w Radomiu

MAGDA.

Oj, dałabym ja mu fajkę — toby mu się dopiro zakurzyło z czupryny. Już mu tam dzieci pogwiżdże — będzie aż tańcował!

KASPER.

A bo ci też i wczoraj to takie piekło w domu, że bez co ani chwili spokoju — ganiają i ganiają człowiekiem, jak kołowrotem. To tu, to tam.

MAGDA.

Głupis — a do tego ci nic, i gębę trzymaj zamkniętą. Cicho, bo dziedziczka idzie. (*Wchodzi Teresa, Magda zbliża się do niej*). Ano, proszę wielmożnej dziedziczki, z Antkiem ani ruch poradzić, dyć kuni jeszcze niema.

TERESA (*biegnie do okna*).

A to skaranie Boże z tymi próżniakami! — Antek, Antek zajeżdżaj prędko, bo pan strasznie się gniewa. Trzeba było wcześniej zaprzęgać — spóźnisz się na stacyę. (*do Magdy*) Masz tu klucze, idź z Kasprem do piwnicy, przynieś wino i piwo, a uważajcie, żebyście flaszek nie potłukli. (*biegnie go okna*) Antek — co ty dziś wyprawiasz, dlaczego nie zajeżdżasz? (*do Magdy*) Magdusiu, powiedz gospodyni, żeby zaraz do mnie przyszła. A gdzież panienka?

MAGDA.

Panienka rwie kwiatki w ogrodzie.

TERESA (*prędko*).

Podajno te dwa krzesła, trzeba je postawić koło stołu. Tak, tak, dobrze. No idźcież do

piwnicy. Zaraz, zaraz, co to ja chciałam powiedzieć, albo nie — idźcie już do piwnicy. Magdusiu, zaniesiesz poduszki z mego pokoju na górę — i tę koldrę, która leży na fotelu. (*Magda i Kasper wyszli — wbiega Jadwiga, siada na kanapie i robi bukiety*). Dwóch będzie spało w pokoju Zdzisława. Zdziś w saloniku na kanapie, dwóch umieścimy na górze, a jeden w dziecinnym pokoju. (*do Jadwigi*) Dzieci z piastunką będą spały u ciebie, a ty u mnie.

JADWIGA.

Ale dobrze, dobrze — jak trzeba, to będę spała i na strychu. Mnie wszystko jedno. Czy Zdzisław już pojechał?

TERESA.

Nie jeszcze. On się gotów spóźnić przez tego nieponia Antka. (*podbiegła pod boczne drzwi*) Zdziniu, Zdziniu — spiesz się, już wielki czas!

JADWIGA.

Byłaby ładna historia, gdyby się spóźnił na kolej. Coby sobie pomyśleli, gdyby koni na stacyi nie zastali.

SCENA DRUGA.

TERESA, JADWIGA, ZDZISŁAW, MAGDA.

ZDZISŁAW.

Zajechał?

TERESA.

Jeszcze nie. Guzdrze się od godziny — ten niedołęga!

BIBLIOTEKA MIEJSKA

Radom

ZDZISŁAW.

A do stu tysięcy dyabłów, ja go dziś na kwaśne jabłko zatłukę. Wyrzucę go jeszcze dzisiaj.

JADWIGA (*podbiega pod okno*).

Już zajechał — już zajechał!

TERESA.

Mój drogi, tylko się nie irytuj i nie klnij, wiesz, jak ja tego nie lubię — i to ci zresztą szkodzi na zdrowiu.

ZDZISŁAW (*całując żonę*).

Do widzenia, do widzenia, moja droga. — A uważajcie, żeby czego nie zabrakło.

TERESA.

Niczego nie zabraknie. Bądź spokojny — niczego nie zabraknie — ja pamiętam o wszystkim.

ZDZISŁAW.

A dzieci ubrane?

TERESA.

Zobaczysz. Wystroiłam je, jak laleczki. Zdziś wygląda jak aniołek w tej białej sukience. (*naśladuje małego chłopczyka*) A tak się dopytuje, co to będzie — jacy goście... O, już to dzieci nie powstydzisz się.

ZDZISŁAW (*ściskając żonę*).

Pewny jestem, że i ciebie się nie powstydzę. I gdy im powiem z dumą: patrzcie — oto moja

żona! Każdy schyli głowę na znak uwielbienia. (*całuje ją za każdym razem*) Jesteś pocziwa, dobra, a gospodyni całą gębą... Bądź zdrowa. Do widzenia, Jadwiniu — pamiętaj, że kawalerów będziesz miała po same uszy — będzie nawet jeden poeta, a ty lubisz wiersze...

TERESA.

Jedźże już, jedź — nie gadaj głupstw. Puść mnie, bo mi pogniecieś całą suknię. — E, Zdzisławie, nie dokazuj.

JADWIGA (*śmiejąc się*).

Że się też wam nie sprzykrzy, ciągle całować. Mnieby to nudziło...

ZDZISŁAW.

Uciekam (*wybiega*).

SCENA TRZECIA

TERESA, JADWIGA, MAGDA, KASPER, TOMASZ.

(*Kasper wnosi na scenę koszyk z winem. Magda za nim. Pan Tomasz wychodzi ze swego pokoju, siwy, wąsy duże sumiaste, w szarym surducie, trzyma gazetę w ręku i okulary*).

KASPER (*mrużąc*).

Dźwigaj ciężem i dźwigaj. (*gl.*) A gdzież to rzucić?

TERESA.

Zanieś koszyk do stołowego pokoju. Gospodyni przyszła?

MAGDA.

Czeka w kuchni — a poduszki i kołdra już na górze.

TERESA.

Dobrze. Chodźcie ze mną.

(*Teresa, Magda, Kasper wychodzą.*)

TOMASZ.

Co tu krzyku, co tu krzyku!

JADWIGA.

Może dziadzio przy mnie usiądzie i pomoże mi. Wszystko to na przyjęcie naszych miłych gości. Doprawdy, serce bije mi jak młotkiem. Chce się dziadzio przekonać?

TOMASZ (*siada przy Jadvidge*).

Bije ci serduszko, bo spodziewasz się zobaczyć młodych i przystojnych chłopców.

JADWIGA.

Niby ja też do chłopców przyzwyczajona! Są to u nas jacy chłopcy? Na obwinicie palca żadnego z nich nie widzę. Ja już nawet zapomniałam, jak chłopiec wygląda...

TOMASZ.

No, no, tylko nie udawaj. Ja wiem, że tu same stare dziady — ja stary, pan Wincenty stary, ksiądz proboszcz stary, nawet ekonom stary.

JADWIGA.

Otóż dziadunio się myli. Wie dziadzio — jeden z kolegów Zdzisia wiersze pisze. W bi-

blioteczce Teresy są dwa tomy jego poezyi. umiem ich dużo na pamięć... i zawsze się nimi zachwycam. A jednego znowu z jego kolegów pamiętam doskonale.

TOMASZ.

Nie może być. A skądże ty go pamiętasz?

JADWIGA.

Przyjeżdżał do nas na wakacje dwa, czy trzy razy. On mnie pewno nie pamiętał. Byłam mała, a jemu już się wąsiki puszczały. Może miał z ośmnaście lat. Zawsze przychodził do mego pokoju — bo tam była Frania szwaczka, i prosił ją, żeby mu czapkę reparaowała.

TOMASZ (*śmiejąc się*).

I Frania mu tę czapkę reparaowała?

JADWIGA.

Razem reparowali. Ciekawam, czy on to będzie pamiętał.

TOMASZ.

Lepiej mu tej igły i tej czapki nie przypominać.

JADWIGA.

Ho, ho, jabym mu mogła dużo rzeczy przypomnieć, bo i ze mną wyprawiał różne figielki. Wsadził mi raz za kołnierz dwie gąsienice. (*śmiejąc się*) A pamięta dziadzio moją guwernantkę — tę Francuzkę, pannę Perichon?

TOMASZ.

A któżby tego dyabła nie pamiętał! Znieść jej nie mogłem. Cóż to było za nieznośne stworzenie!...

JADWIGA.

Ona za nim waryowała! Miała nawet jego fotografię. *(naśladując guwernantkę)* „Ach, jaka mila klopaka—ach, jaka wesola klopaka — charmant garçon...” A nosem to tak kręciła, jak królik...

TOMASZ *(śmiejąc się)*.

Jak królik? A może i ona mu czapkę reprowała? co?

JADWIGA *(zanosząc się od śmiechu)*.

Nie wiem, dziaduniu — nie wiem... ale co nosem kręciła, jak królik—to kręciła*(oboje śmieją się)*.

SCENA CZWARTA.

JADWIGA, TOMASZ, *wbiega* TERESA, *potem* MAGDA.

TERESA.

Z czegoż to dziadzio tak się śmieje?...

TOMASZ.

A bo mi tu Jadwinia opowiada niestworzone historye o guwernantce, króliku i czapce. Można umrzeć ze śmiechu. To jakiś urwis. Niechno ja go zobaczę. Zaraz mu tę reparacyę przypomnę.

(Za scenę słysząc turkot powozu).

JADWIGA *(nadstuchując)*.

Jadą!... Słyszać turkot powozu.

TERESA.

To niepodobna, niema jeszcze kwadransa,

jak Zdzisław pojechał na stacyę... To nie może być. Ja nic nie słyszę.

TOMASZ.

Ja to głuchy... także nic nie słyszę...

JADWIGA.

Ale ja dobrze słyszę... Może jacy niespodziewani goście.

TOMASZ.

A toby wam w porę wybrali.

MAGDA *(wbiega)*.

Proszę wielmożnych państwa, a dyć jedzie pani Kornalska ze wszystkimi pannami co do jednej, całą kupą.

TOMASZ.

Całą kupą!... A to wam sprawili wesele. Masz dyable kaftan. Że te baby cały Boży dzień muszą się włóczyć z kąta w kąt.

TERESA.

Ach Boże! cóż my z niemi robić będziemy? Jak je wyprawić? Mój Boże, dziaduniu, poradź!

TOMASZ.

Na te baby nie ma żadnego środka. Wyprawisz je drzwiami, wrócą oknem.

JADWIGA.

Niech dziadzio powie, że Terenia chora.

TOMASZ.

Nie istnieje dla nich żadna choroba. Chole-
ra, dżuma, tyfus planisty, szkarlatyna nie wy-

straszy ich. Powiadam wam, baby zwąchały pismo nosem, dowiedziały się, że przyjeżdżają do was młodzi ludzie, i zlatują się, jak kruki na żer.

TERESA (*zakłopotana*).

Ale ja ich nie mam nawet czem przyjąć. Co ja z niemi będę robiła. A to prawdziwy kłopot.

JADWIGA.

Zdziś ich tak nie lubi.

TOMASZ.

Słyszycie je? (*za sceną słychać kobiece głosy*) Trąba Archaniola na sądzie ostatecznym nie będzie tak głośną, jak ta Kornalska.

SCENA PIĄTA.

TERESA, JADWIGA, TOMASZ, MAGDA, KORNALSKA, KLIMCIA, MALCIA, MELCIA.

KORNALSKA (*jeszcze za sceną*).

Klimciu, Malciu, Melciu, wypędźcie kury z gazonów, bo najpiękniejsze kwiaty podepczą, (*wszystkie*) a sio, a sio — jakże można kury wpuszczać do ogrodu... (*wbiegają*) Kochana, droga, jedyna pani Zdzisławowa, zawsze uprzejma. Niechże sobie tylko państwo nie robią z nami żadnej subiekcyi, bo ja tego nie lubię. Klimcia, zdejmi mi kapelusz, powoli, bo mnie targniesz za włosy, jeszcze mi warkocz odleci. Malciu, weź szal, o! jak dziś gorąco. Melciu, dajno mi wachlarz. Kochana pani Zdzisławowa, my tylko na krótką wizytkę do państwa (*ogólne powitanie*).

TOMASZ (*na str.*).

To, to chwala Bogu, że na krótko.

KORNALSKA.

Zostaniemy u was tylko na obiedzie, — a po kolacyi zaraz wracamy do domu, chociażbyście nas przemocą chcieli zatrzymać.

TOMASZ (*na str.*).

Dobryś!... I ona to nazywa krótką chwilką!

JADWIGA (*do Tomasza*).

Dziaduniu! na cały dzień do nas się zakwaterowały!...

KORNALSKA (*biegnąc do Tomasza*).

Dziadunio kochany, zawsze dziarski, zawsze chwat, zawsze zuch — to nie tak, jak mój mąż. O jakie dwa krzyżyki młodszy od pana Tomasza, a ani równać się nie możecie. Wiecznie jakiś reumatyzm, to go łopatką boli, to go gdzieś strzyka. Przedwczoraj Klimcia, Malcia i Melcia musiały go całego od góry do dołu smarować mrówczanym spirytusem, tak go w kościach łamało. Mnie się już doprawdy sprzykrzyło to ciągłe smarowanie, bo cóż mi to za mąż — sam na łóżku przewrócić się nie może, tylko trzeba go wiecznie wywracać.

TOMASZ (*na str.*).

Że też ją dzisiaj łopatką nie zabolala!...

KLIMCIA.

Tatko miał wielką ochotę do państwa dzisiaj przyjechać.

MELCIA.

Kazał państwa przeprosić i pozdrowić.

MALCIA.

Ale w przyszłym tygodniu to pewno razem przyjedziemy.

KORNALSKA.

Z nami, bez ceremonii. Po sąsiedzku. O, tu na kanapie będzie mi dobrze. Panienki, bawcie się z Jadwiną. Właśnie wczoraj przyjechaliśmy do miasteczka, bo to jak sam człowiek nie porobi sprawunków, wszystko licha warte, a w domu, jeszcze przy chorym mężu, wiecznie czegoś brak. Otóż spotkałyśmy się w sklepie z Wyrzelską i Budkowską, gadu gadu, od tego do owego, powiadają, że u was ma się odbyć dzisiaj jakiś piknik kawalerski.

TERESA.

Skądże znowu. Nic nie wiemy o żadnym pikniku kawalerskim.

KLIMCIA.

Że przyjadą do państwa sami młodzi kawalerowie.

MELCIA.

Z różnych stron świata.

MALCIA.

Nawet z Ameryki.

KORNALSKA.

Zwyczajnie baby wścibskie, to zaraz wywahały. Ja to o wszystkim na końcu się

dowiaduję. — Powiedziały, że z jaki tuzin mężczyzn do was przyjedzie.

TOMASZ (do Jadwigi).

Nie mówiłem, że kruki na żer zleciały...

TERESA.

Wszystko, co pani słyszała, to plotki. Zdziś spodziewa się wprowadzić kilku dawnych przyjaciół, ale o żadnej zabawie i tańcach mowy niema.

TOMASZ.

Jak przyjadą — tak odjadą.

KORNALSKA.

Młodzi?

TERESA.

Prawdopodobnie.

KORNALSKA.

Przystojni?

TERESA.

Nie widziałam ich nigdy.

KORNALSKA.

Bogaci?

TERESA.

Skądże mam to wiedzieć?

KORNALSKA.

Jakto? wpuszczacie do domu mężczyzn, nie wiedząc, czy są młodzi, przystojni, bogaci? w dodatku mając na wydaniu pannę?...

BIBLIOTEKA MIEJSKA
Radomia



TOMASZ.

Ależ tu nie idzie o Jadwinę.

JADWIGA.

To są goście Zdzisława.

KORNALSKA.

Ja też to samo sobie myślałam — ale Wyrzelskiej ani wytłumaczyć. Zrobiła już z tego całą historię w okolicy. Bo to zawsze tak. Jak tylko jest w domu młoda panna — tam stopa męska progu przestąpić nie powinna. Zawsze jakieś podejrzenia, domysły, szept... Cóż to, nie mam trzech córek? Dwa lata temu wydali mi Klimię za męża, a u Melci widzieli na palcu pierścionek zaręczynowy... Dziewczyna musiała ciągle dziesięć palców pokazywać...

TERESA (na str.).

Mnie już głowa boli... o Boże!

TOMASZ.

A to trajkotka!

MAGDA (wbiega).

Proszę wielmożnych państwa — jadą panowie. Na gościńcu kurzu co niemiara.

(Słychać trzask z bicza).

WSZYSCY (zrywają się).

Jadą!

KORNALSKA.

Ciekawam ich zobaczyć.

TERESA (do Kornalskiej).

To koledzy z lat dzieciennych mego męża — musimy ich przyjąć serdecznie. Proszę, bardzo proszę.

KORNALSKA.

Chodźcie panny do okna — będziemy powiewały chustkami. Klimcia, daj mi chustkę!...

KLIMCIA.

Proszę mamy.

KORNALSKA (w oknie).

Aha — już wjeżdżają na dziedziniec — cała bryczka wypakowana, jak śledziami. (liczy) Jeden — dwóch.

MALCIA.

Trzech... czterech.

MELCIA.

Pięciu... sześciu.

(Klimcia, Malcia, Melcia, Kornalska, tłoczą się do okna, pchają się jedna na drugą. Ku drzewom zbliżają się powoli: Jadwiga, Teresa, Tomasz).

KLIMCIA.

Pokażcie mi ich — gdzież są? Niechże i ja im się przypatrzę.

MELCIA.

Dwóch brunetów.

MALCIA.

Ależ trzech brunetów — jeden blondyn.

KLIMCIA.

Jeden szatyn z wąsami!

KORNALSKA.

I jeden łysy! Ciekawam, z czego taki młody człowiek może wyłysieć, jak kolano. A nie pchajcież się na mnie, bo mnie boki bolą! Dziew-

częta, machajcie chustkami! Boże! żeby się z tego co wymachało. Klimeiu, popraw grzywkę.

MELCIA.

Wszyscy bardzo przystojni — nawet ten łysy niczego.

KLIMCIA.

Że też mama nie urządzi u siebie takiego „zjazdu koleżeńskiego“.

KORNALSKA.

I oni będą mi mówić, że tu nie idzie o Jadwigę. Głupiemu niech to powiedzą. Dziewczęta, trzymajcie się prosto, poprawcie sukienki, uśmiechać się z wdziękiem, o tak (*pokazuje*).

MELCIA.

Wysledli z bryczki.

KORNALSKA.

Aha — i łysy wyskoczył. Idą tu.

JADWIGA (*do Teresy, biorąc ją za rękę*).

Ach, jak mi serce bije!

SCENA SZÓSTA.

TERESA, JADWIGA, TOMASZ, KORNALSKA,
KLIMCIA, MALCIA, MELCIA, (*wbiegają równocześnie*)
ZDZISŁAW, ADAM, JÓZEF, EDWARD, ROBERT.

WSZYSCY (*wszedłszy na scenę — w progu — razem*).

Pochwalony!

TOMASZ.

Na wieki wieków amen. (*chwila milczenia*)
Gość w dom — Bóg w dom. A coś dopiero go-

ście tak mili i pożądani, jak wy — towarzysze i przyjaciele Zdzisława. Witajcie w naszych progach, witajcie całym sercem (*ogólne powitanie*).

ZDZISŁAW.

Oto moja rodzina: żona, siostra, dziad. Zaraz wam zaprezentuję moje dzieci.

KORNALSKA (*ze złością*).

Widział kto coś podobnego? dzieci w kołysce chce im prezentować, a o nas zapomina. (*chrząka mocno*) hm... hm...

ZDZISŁAW (*niezadowolony — na str.*).

Niepotrzebnie wlażyły mi tu te baby. (*głośno*)
Pani Kornalska.

KORNALSKA (*zbliżając się*).

Katarzyna Kornalska — najbliższa sąsiadka i najszczęstsza przyjaciółka tego domu. Moje córeczki — to te, które machały chustkami na powitanie szanownych panów.

ROBERT (*do drugich*).

Jakieś stado gęsi. (*do Kornalskiej*) Nie zasłużyliśmy na tyle względów pani dobrodziejki.

KORNALSKA.

Och... cóż znowu. (*podaje mu rękę*) Nabieram przekonania do tego łysogo.

(*Klimcia zbliża się do Edwarda, Malcia do Adama, Melcia do Józefa*).

TERESA.

Niechże panowie rozgłaszczą się, jakby we własnym domu. Zanim obiad podadzą — zostawimy panów samych.

KORNALSKA *(do siebie)*.

Chcą się nas pozbyć...

TOMASZ.

Naturalnie — nie przeszkadzajmy im. Niech się z sobą nacieszą, pogawędzą — chodźmy... *(do Jadwigi)*. No i cóż, poznałaś tego, coście mu to czapkę reparowały?

JADWIGA *(wskazując na Roberta)*.

Dziaduniu — zdaje się, że to ten — ale się strasznie zmienił... nigdybym go nie poznała, a ten brunet — widzi dziadzio, to poeta... prawda że przystojny?

JÓZEF *(do Zdzisława wskazując na Jadwigę)*.

Czy to twoja siostra.

ZDZISŁAW.

Tak — Jadwiga.

JÓZEF.

Bardzo ładna! Ach, szczęśliwce — masz w domu dwie śliczne istoty: żonę i siostrę. Ja nie mam żadnej.

ZDZISŁAW *(śmiejąc się)*.

Czy to ma znaczyć, żebym się z tobą podzielił?... A jak jeszcze zobaczysz moje dzieci. powiadam ci, zdębiejesz.

JÓZEF *(do siebie)*.

Ależ ona jest bardzo ładna...

TOMASZ.

Proszę pani, proszę... musimy ustąpić z placu boju... *(na str.)* A wszystkim babom świecą

się ślipie — jak kotom do mleka. *(do Kornalskiej)* Niechno pani będzie łaskawa — pójdziemy do ogrodu na porzeczeki i agrest *(podaje jej rękę)*.

KORNALSKA *(do Roberta)*.

My się jeszcze zobaczymy — do stołu zamawiam sobie pańskie towarzystwo.

ROBERT.

Z przyjemnością. *(do siebie)* Ozego ta baba chce ode mnie.

KORNALSKA.

Klimciu, Malciu, Melciu, chodźcież — *(z przejęciem patrząc na Jadwigę, która rozmawia z Józefem)* skoro państwo życzą sobie, żebyśmy poszli na agrest i porzeczeki.

TERESA.

Jadziu, chodź!...

(Panie i Tomasz wychodzą).

SCENA SIÓDMA.

ZDZISŁAW, ROBERT, JÓZEF, ADAM, EDWARD.

(Na scenę służący wnosi na tacy butelki z winem i kieliszkami. Po odejściu pań, wszyscy zbliżają się ku sobie, ściskając się za ręce wzajemnie i t. d.).

ZDZISŁAW.

Drodzy, kochani koledzy! Chwilami zdaje mi się snem, że my znowu razem jesteśmy...

JÓZEF.

Dziesięć lat, dziesięć lat — od czasu jak rozbiegliśmy się w różne strony świata. Dotrzy-

maliśmy sobie jednak słowa solennie, skoro w oznaczonym dniu zebraliśmy się wszyscy dla utrwalenia węzłów przyjaźni i przywiązania braterskiego!...

ADAM.

Niech żyje nasza przyjaźń!... I niech się nigdy nie kończy!

EDWARD.

Wiecie co?... myśmy się nawet mało co zmieni. Ja się trochę tylko zaokrągliłem... Ale patrzcie, jak Józio zmężniał i jaki się z niego zrobił ładny chłopiec!... Wąsik do góry, mina dziarska.

JÓZEF.

Zdaje ci się tylko!... Pochlebiasz mi.

ROBERT.

A mnie czupryna całkiem wylazła. Pamiętacie moje bujne kędziory, targaliście niemi, jak suchą wierzbą, na wszystkie strony. Zostałem z gołą pałką. Kto się ożeni — ten się odmieni.

EDWARD.

Wszakże i ja jestem żonaty, a włosów mi nie brak. Widocznie zależy to od tego, czy jejmość dobrodziejka... (*targa za włosy*).

ADAM.

Wszyscy tu — już jesteśmy żonaci.

EDWARD.

Nie wszyscy — biedne Józisko ciągle trwa w panińskim — chciałem powiedzieć w kawalerskim stanie. (*uderzając go po plecach*) Słuchajno — kiedy ty się ożenisz?

ADAM (*tak samo*).

Kiedyż ty się ożenisz?

ZDZISŁAW.

Nie ma innej rady — my go ożenimy!...

EDWARD.

Pamiętacie — jak on zawsze wzdychał do księżycy, do gwiazd... Co ja się czasem uśmiełem!... Raz w nocy coś mu się ubrdało i ciągnął mnie na Powązki!... A pisujesz jeszcze wiersze?

ZDZISŁAW.

Czy on wiersze pisuje? Dobry sobie! Jak to, nie wiesz? nie tylko pisuje, ale nawet drukuje. Wydał już dwa tomy poezyi!...

EDWARD.

Fiu, fiu! patrzcie państwo... Poeta. — No, to daj buzi z dubeltówki. (*całują się*) Ja, co prawda, z poezją nie mam nic do czynienia. Przy zajęciach fabrycznych trudno o tem myśleć... Ale kupię twoje poezye — jak cię kocham...

ROBERT.

To tak jak i ja. Jemu to zawsze jak z rekawa leciało, szast prast i sonet gotów, do czegoś chciał... Mnie moglibyście utłuc w móżdżerzu na mialki proszek, a nie wycisnęlibyście ani jednego rymu.

ZDZISŁAW (*śmiejąc się*).

No, bo ty też do poezyi!...

ROBERT.

Chcesz powiedzieć — jak wół do karety!... Masz rację, nie mam żadnej pretensyi. Ja do

wszystkiego byłem patentowanym osłem. Asinus asinorum. Podpowiadaliście, podrzucaliście karteczki, dyktowaliście, poprawialiście i tak jakoś kominem wszystkie klasy przelazłem.

ZDZISŁAW.

I pomimo tego, ożenił się najpierwszy z nas.

ROBERT (z powagą).

Tak jest — ożeniłem się i wcale tego nie żałuję. Mam babę zdrową, tęgą, zamaszystą, mam cztery składy węgla i... pięcioro dzieci!...

WSZYSCY (śmiejąc się).

Co ty mówisz? pięcioro dzieci?...

ROBERT.

Jak obszył — pięciu smyków, wszystko chłopaki, i do mnie podobni, jak dwie krople wody. Co rok prorok, a jednego roku dwa proroki — bliźniaki... E, nie śmiecie się, jak ta rebiata od rana zaczęła wrzeszczeć: papu — to człowiekowi włosy dębem stają na głowie.

ZDZISŁAW.

Jakie włosy?...

ADAM.

Oj, łobuz był z ciebie nielada. Ale pocciwy, serdeczny łobuz. Na wołowej skórze nie spisałibyśmy wszystkich twoich psikusów. Wesoło to były chwile. Pamiętacie nasze bibki, bankiety? Serdele, chleb i piwo bawarskie. Czasem kurczęta pieczone, ze wsi od rodziców Zdziśława.

ROBERT.

Lub szynka, którą pan medyk (z *ukłonem do Adama*) przynosił. Zawsze ją było czuć jodoforem.

EDWARD.

A ja zawsze polknałem. Miałeś wilczy apetyt. Trzeba było wszystko przed tobą zamykać, chować na cztery zamki.

ADAM.

Tam na trzecim piętrze, w małym pokoiku, pamiętacie. Zdawało się nam, że cały świat do nas należy. Stróż przynosił samowar...

ROBERT.

Ja go zawsze nastawiałem... Przyznajcie, że dmuchałem w niego z całych sił! A kto wam mył szklanki? co? Ja!...

ADAM.

Boże! i o czemeśmy nie mówili, do jakich czynów się zapalali! Ja często o głodzie i chłodzie przybiegałem do was, dzieliliście się wszystkim ze mną, jak z rodzonym bratem. Korepetycje nie zawsze wystarczały, i gdyby nie wy, nie wiem, czybym może został tem, czem jestem. (*żywo*) A pamiętacie nasze skrzypce?

JÓZEF.

Nasze ukochane skrzypce?

ZDZISŁAW.

Skrzypce? (*porywa ze stolika skrzypce*) Patrzcie, oto są!...

WSZYSCY (z uniesieniem).

Są nasze skrzypce!... nasze drogie skrzypce!

EDWARD.

Dalej, Adasiu, za smyczek... Musisz grać!
Nazywaliśmy cię naszym Barcewiczem!

WSZYSCY.

Graj, graj!

ADAM.

Nie—doprawdy nie mogę w tej chwili... Nie
żądam.

ROBERT.

Ale co tam, nie rozczulaj się — tylko za smyk
i jazda. Graj od ucha do ucha, żeby się w czło-
wieku dusza poruszyła...

ADAM.

Nie mogę, naprawdę, że mi trudno, patrzcie,
drżą mi ręce.

WSZYSCY.

Wszystko jedno — graj!... Musisz grać!...

(Adam bierze skrzypce, wszyscy siadają słuchając
w zadumaniu jego gry.) Na werandzie ukazują się
Jadwiga, Tomasz, Józef wpatrzony w Jadwigę.

WSZYSCY.

Brawo! brawo nasz Barcewicz! (ściskają Ada-
ma. Jadwiga i Tomasz usuwają się ze sceny).

EDWARD.

I oto, jak utrwaliły się węzły naszej przy-
jaźni — nigdy nie rozerwanej, na śmierć i na
życie!...

WSZYSCY.

Na śmierć i na życie!...

ZDZISŁAW.

Koledzy, do kieliszków!

ROBERT.

Do kieliszków! (smakując) Prawdę mówiąc,
przy tem winie głowa wcale nie cięży — i aby
was przekonać, że mam w wysokim stopniu roz-
winięte zdolności lingwistyczne — powtórzę dwa
mądre przysłowia łacińskie: *Bis repetita placet*
i *Omne trinum perfectum*.

EDWARD.

W górę Roberta!

ROBERT.

Pst! dajcież pokój, nie zapominajcie, że je-
stem pater familias — to także po łacinie.

ZDZISŁAW.

Józiu, Józieczku, poeto! czegoż ty taki za-
chmurzony — zamiast cieszyć się z nami i bawić.
Kręcisz się tak niespokojnie, jakby ci co bra-
kowało.

JÓZEF.

Nie mi nie jest.

EDWARD.

Może wiersze układa. Panowie, uciszcie się,
słuchamy.

JÓZEF.

Dajcie mi teraz spokój!...

ROBERT.

Napisz odę na cześć moich czterech składów
węgla, a ozłocę cię!

ZDZISŁAW (*wznosząc kieliszek*).

Wasze zdrowie!

ADAM.

Wszystkich zdrowie!

EDWARD.

Józia zdrowie! Oby się nareszcie w tym roku ożenił.

ROBERT.

I mnie na ojca chrzestnego zaprosił! Jestem pewny, że będę miał szczęśliwą rękę... i doczekasz się wkrótce takiej samej konsolacyi — jak ja... Pięcioro — jak obszył (*ściska Józefa*).

SCENA ÓSMA.

ZDZISŁAW, EDWARD, ROBERT, JÓZEF, ADAM, *wbiega*
KLIMCIA, *potem MALCIA I MELCIA*.

KLIMCIA.

Mama zostawiła gdzieś wachlarz, a w ogrodzie gorąco. (*szuka po scenie*) Nie mogę go nigdzie znaleźć...

ROBERT (*do drugich*).

Wachlarz jak cepy leży na kanapie, a ona chodzi jak niewidoma. (*podaje wachlarz*) Jest tutaj — niechże mameczka się powachluje, kiedy jej gorąco... (*do s.*) I mnie zaczyna być gorąco!...

KLIMCIA (*wdzięcząc się*).

Ślicznie dziękuję!... Powiem mamie, że go pan własnymi rękami odszukał. Mama także prosi, żeby pan był łaskaw przyjść do ogrodu.

54/9

ROBERT (*j. w.*).

Czego ta baba chce ode mnie? Aha! może chce u mnie węgla na zimę obstalować. A no, dobrze, idę, i tak potrzebuję świeżego powietrza. (*podając ramię Klimci*) U państwa dużo pieców?...

KLIMCIA (*podziwiona*).

Pieców?...

ROBERT.

A może dymią? co? Potem wszystko spędzają na węglarzy, a to najczęściej wina komina. Kominy powinny być zawsze w porządku. Słuchę pani (*wychodzi z Klimcią*).
(*Melcia i Malcia już przed chwilą weszły na scenę między panów*).

ZDZISŁAW (*zły*).

Jest!... Nie mogły już wytrzymać, a cóż to za natrętne dziewczęta!

MALCIA (*do Edwarda, który podał jej damską torebkę*).

Pan taki grzeczny, już o mało co nie płakałam — bom myślała, że zginęła.

EDWARD.

O!... byłaby wielka szkoda, taka duża torba!...

MELCIA (*z dygiem*).

Sama ją haftowałam...

MALCIA (*do Adama kończąc rozmowę*).

Bo chciałybyśmy się w serso zabawić, więc i panów prosimy do kompanii.

ZDZISŁAW.

Nie odczepią się — to prawdziwe pijawki.

Chodźmy do ogrodu, po obiedzie wyprawię je na cztery wiatry. No, a ty, Józiu, nie pójdziesz z nami?...

JÓZEF.

Odpocznę chwilę... Zaraz do was przyjdę.

MŁŁCIA (*idąc pod rękę z Edwardem*).

Mogę panu podarować kanarki z włóczki na lampę, także mojej roboty.

EDWARD.

Kanarki! jaka pani łaskawa!...

(*Wszyscy wychodzą, prócz Józefa*).

SCENA DZIEWIĄTA.

JÓZEF (*po chwili*) JADWIGA (*niesie w koszyku owoce*).

JÓZEF.

Jakże chętnie chciałbym zobaczyć to uroczę dziewczę. Ożenić się! hm... któryż ojciec odważy się wydać córkę za poetę!... To ona! los sprzyja mi!

JADWIGA.

A!... przepraszam...

JÓZEF.

O, niechże pani nie ucieka, bo pomyślę, że to przede mną!

JADWIGA.

Muszę wybrać owoce do stołu...

JÓZEF.

Ja pani pomogę.

JADWIGA (*ze śmiechem*).

Nie będzie pan umiał, trzeba się znać na owocu — ja to zaraz poznam; tylko się dotknę jabłka, albo gruszki — wiem już, czy dojrzała.

JÓZEF.

Spróbujmy. Wybierajmy razem.

JADWIGA.

Pan za to ładne wiersze pisze. Umiem dużo poezyi na pamięć. Umiem i pańskie. Zdziśiowa, chociaż napozór zimna, także lubi poezye. Ja wcale zimną nie jestem.

JÓZEF.

Bo posiadasz pani urok młodości i prawdopodobnie złote serduszko.

JADWIGA.

Taka sobie jestem zwyczajna wieśniaczka...

JÓZEF.

I ja wieśniak — przepadam za wsią, chociaż wiersze piszę.

JADWIGA (*żywo*).

Doprawdy? Och, u nas bardzo ładnie, wioska niewielka, ale nic a nic nie obdłużona. Zdziś zawsze to z dumą powiada! W ogrodzie jest jedna duża aleja grabowa z pagórkami na końcu. Zaprowadzę pana, gdy księżyc zajdzie... Stoję tam nieraz całymi godzinami. Szkoda, że nie umiem pisać wierszy, możnaby tworzyć całe poematy! (*śmiejąc się*) Tylko, żeby to chciał czytać moje poematy — Boże drogi! Każdy powinien się brać do swoich rzeczy; do mnie należą kury,

mleko, jaja, (z *ukłonem*) ja gospodyni, a księżyc i niebo gwiazdziste to rzecz poetów. Ale ja już muszę iść, bo obiad niedługo, panowie pewno głodni. (z *uśmiechem*) Niech pan nie czeka drugiego zjazdu za dziesięć lat, ale proszę do nas wcześniej przyjechać. Zdziś będzie panu rad, wszyscy będą radzi (*nieco zakłopotana*), i ja będę rada... Ja wszystkim rada!... Co zaś do alei grabowej, to pójdziemy, jeżeli tylko księżyc będzie jasno świecił.

SCENA DZIESIĄTA.

JADWIGA, JÓZEF — *na werendzie stali przed chwilą*:
ZDZISŁAW I TERESA, *patrzac na nich z uśmiechem*

ZDZISŁAW.

I jeżeli ja na to pozwolę. (*podchodzi do Józefa, Teresa do Jadwigi*) Ty bałamucie...

TERESA.

Gdzież to panna Jadwiga wybiera się bez mego pozwolenia?...

JÓZEF (*serdecznie ściskając Zdzisława*).

Drogi Zdzisławie, nie gniewaj się na mnie... Twoja siostra jest czarująca...

ZDZISŁAW.

A ty jesteś najpocziwszym chłopcem, tylko, niestety! pamiętaj, że wierszami żony nie nakarmisz... Przyjeżdżaj do nas częściej. Pomówi o tem.

SCENA JEDENASTA.

JADWIGA, TERESA, ZDZISŁAW, JÓZEF, *wbiega* KORNALSKA, *potem* ROBERT, TOMASZ, ADAM, EDWARD, KLIMCIA, MELCIA, MALCIA, MAGDA.

KORNALSKA (*wbiega zła*).

Cóż to za człowiek!... dogadać się z nim nie można, ja mu o Klimci, a on mi ciągle o piecach, kominach, chciał mi dawać adres jakiegoś kominiarza. A mnie co po kominiarzu! (*do Zdzisława*) Mój panie, kto jest ten pan Robert?

ZDZISŁAW.

Pan Robert? Proszę pani, ma cztery sklady węgla, żonę i pięcioro dzieci.

KORNALSKA (*z oburzeniem*).

Co słyszę!... pięcioro dzieci! Impertynencya! Klimciul... To może i ci dwaj także?...

ZDZISŁAW.

Także żonaci! (*wskazując na Józefa i jakby na Jadwigę*) Ten jeden nie żonaty... Także może będzie wkrótce żonaty!...

KORNALSKA.

Koniec świata. A gdzież ja miałam nos! (*woła*) Klimciu! Malciu (*wchodzą wszyscy*).

ROBERT (*prowadzi Klimcię pod rękę, kończac rozmowę*).

Żeby zaś cugów nie było, trzeba szczelnie drzwi zamykać, bo najmniejsza szparka robi przewiew...

KORNALSKA.

Mój panie, moja córka nie potrzebuje wykładów o kominach i cugach w piecu. (*ciszej do Klimci z najwyższem oburzeniem*) Nie rozmawiaj z nim, to węglarz z pięciorgiem dzieci!

KLIMCIA (*zgorzona*).

Ach!... co słyszę!...

MAGDA (*wbiega — ciszej do Teresy*).

Proszę wielmożnej pani, obiad już przyrządzony.

TERESA.

Proszę państwa do stołu.

TOMASZ (*do Kornalskiej*).

Służę pani dobrodziejce!

KORNALSKA.

O, nie — nie możemy pozostać. Boję się, żeby mężowi się nie pogorszyło... Musimy jechać. Klimciu, Malciu, Melciu, ubierajcie się. (*ciszej do córek*) To wszystko żonaci ludzie.

TOMASZ.

Ale niechaj panie nie robią ceremonii.

KORNALSKA.

Nie, nie, przepraszam, żegnam państwa.

ROBERT (*który ciągle szukał czegoś*).

Służę pani dobrodziejce adresikiem...

KORNALSKA.

Nie potrzebuję pańskiego adresiku!... Chodźcie, dziewczęta (*wybiegają*).

ROBERT.

Nie — to nie, niech im tam dymi...

ZDZISŁAW.

A! chwała Bogu, że sobie już pojechały! Przynajmniej obiad zjemy spokojnie!

TOMASZ.

A przy obiedzie ja wam pełną mowę na cześć waszego „zjazdu koleżeńskiego“.

ZASŁONA SPADA.

Kalinowa, 1893 r.

3979

BIBLIOTEKA MIEJSKA

Radomi

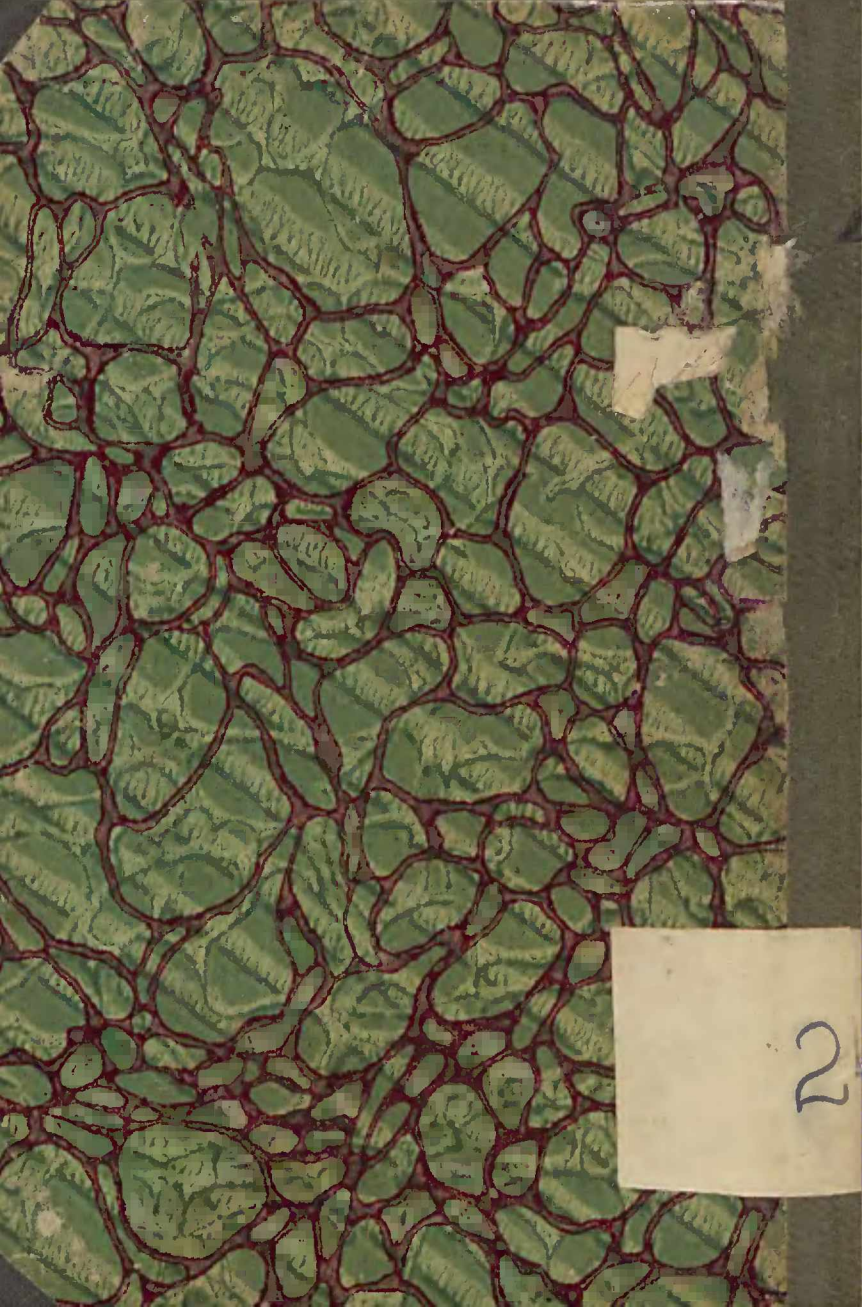
K. 921.

P 24826

6049



ZA USZKODZENIA KSIĄŻKI,
NIEODNOTOWANE NA TEJ KARTCE
PRZEZ BIBLIJOTEKARZA,
ODPOWIADA CZYTELNIK.



2